



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Ryszard Romankiewicz

Niebezpieczni sąsiedzi

Opowieść swoją zacznę od dziejów przydrożnej figury w Radowiczach. Radowicze była to duża wieś, posiadająca kilka kolonii o odrębnych nazwach, ciągnąca się na przestrzeni około 5 kilometrów. Przed wojną było tam ok. 450 numerów domów, z czego około 85 przypadało na rodziny polskie. Była tu polska szkoła z klasami I-VI, przy czym nauka w klasie VI-ej trwała 2 lata, co stanowiło tyle co ukończenie siedmiu klas. Na wsi był młyn i punkt pocztowy. Ukraińcy posiadali cerkiew, a ludność polska jedynie figurę, która znajdowała się na skraju wsi od strony Turzyska. Tu zbierała się młodzież na majowych nabożeństwach i tu mieszkańcy Radowicz żegnali zmarłych w drodze na cmentarz w Turzysku.

W 1939 roku z inicjatywy Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej postanowiono wybudować nową figurę murowaną, gdyż istniejący drewniany krzyż rozpadał się. Ofiarnymi organizatorkami tej akcji były dwie młode członkinie KSMŻ – Eugenia Rakowska i Władysława Kulesza. Figurę zaś wymurował Wincenty Szewczyk. Jej poświęcenie odbyło się bardzo uroczysto. Z Turzyska przyjechał ksiądz, który odprawił mszę św. W czasie jej trwania spalono na stosie resztki starej figury. W uroczystości wzięli udział niemal wszyscy polscy mieszkańcy Radowicz.

Wkrótce potem wybuchła wojna. Najpierw przez Radowicze przejeżdżało Wojsko Polskie, potem pokazali się uciekinierzy z centralnej Polski. Następnie przyszli Sowieci. Ludność ukraińska witała ich entuzjastycznie i chętnie wskazywała im „pomieszczyki”. Jednym z pierwszych aresztowanych był właściciel majątku w Litynie Szumowski, a z Radowicz mój ojciec Antoni. Pamiętam jak żołnierze sowieccy okrążyli nasz dom, zabierając ojcu broń, pistolet i strzelbę myśliwską. Następnie zarekwirowali jedną parę koni z wozem, na który załadowali zrabowane rzeczy. Ojciec, aresztowany, musiał iść pieszo za wozem, a dwóch żołnierzy z bronią na wozie odwróconych do tyłu pilnowało go, żeby nie uciekł. Jadąc do Kowla po drodze pytali Ukraińców, czy znają tego człowieka i jakim on był. Kiedy upewnili się, że nikt nic złego o ojcu nie powiedział, a wręcz przeciwnie – mówili, że to dobry człowiek, wówczas pozwolili mu wsiąść na wóz. W Kowlu odbyło się przesłuchanie. Interesowało ich szczególnie to, w jaki sposób ojciec zdobył majątek (gospodarstwo 40 ha i młyn). Kiedy wyjaśnił, że nabył to w uczciwy sposób, z pracy swoich rąk, zwolnili go, oddając konie i wóz. Resztę zatrzymali dla siebie.

Następną z ofiar Sowieców była rodzina Bartoszewskich, z której aresztowali Adolfa, Antoniego i Piotra. Osądzono ich początkowo na karę śmierci, potem ulaskawiono skazując na 10 lat zsyłki na Sybir. Na Sybir wywieźli jeszcze rodzinę leśniczego i policjanta Lasaka wraz z dziećmi. Pozostali Polacy wspierali ich wysyłając im paczki żywnościowe. Jednocześnie każda rodzina polska przygotowywała się do ewentualnego wywozu na Sybir, przygotowując żywność, np. suchary oraz ciepłą odzież.

Żyliśmy pełni smutku i niepewności, gdy tymczasem Ukraińcy cieszyli się, urządzali zabawy połączone z inscenizacją zrzucania kajdan z rąk. Tupiąc w tańcu wołali „głębsza Polska”, co oznaczało, że upadłą Polskę wdeptują w ziemię coraz głębiej. Były też i wyjątki. W sąsiedniej wsi Tuliczowie na podobnej imprezie pewien politruk zapytał starego Ukraińca, czy słyszał, że będą oni (Ukraińcy) mieli taką wolność. Ten odpowiedział: „Ja nie słyszałem, ale starzy ludzie mówili, że będzie antychryst i oto on jest”.

Oprócz organizowania propagandowych widowisk, zabrali się bolszewicy do budowy i przebudowy. Na pierwszy ogień poszły budowy typu wojskowego – droga i lotnisko w Dolsku – oczywiście w czynnie społecznym. Każdy mieszkaniec wsi, niezależnie od narodowości, miał obowiązek pracować za darmo, konno lub pieszo przy budowie tego lotniska. Kiedy ktoś po przepracowaniu tygodnia był zwalniany do domu, to za dwa lub trzy dni otrzymywał od sołtysa ponowny nakaz udania się do tej pracy. I tak było ciągle. Nie wszyscy pracowali przy budowie lotniska. Były też inne prace. Opowiadała mi siostra Zofia o budowie drogi we wsi Radowicze w pobliżu wcześniej opisanej figury. Praca polegała na tym, że należało kopać ziemię na jakimś pagórku, ładować na wozy, a następnie zasypywać tą ziemią jamy na drodze. Jako pagórek wybrali sobie Ukraińcy miejsce, gdzie stała polska figura. Cel był oczywisty – rozkopać pagórek, a figura sama przewróci się i zniknie razem z upadłą Polską. Pracujący tu młodzi Polacy postanowili jednak bronić swej świętości, którą tak niedawno sami wznosili. Udali się więc Molenda i Budzisz do telefonu i zadzwonili do Seliorody – sędziego śledczego w Turzysku. Ten zareagował natychmiast. Przyjechał na spienionym koniu na miejsce zdarzenia. Na wstępie zapytał siostrę, czy jej jest przykro z powodu niszczenia figury przez Ukraińców. Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą zapytał z kolei Ukraińców, czy Polacy przed wojną przychodzili do ich cerkwi i czy naśmiewali się z ich Boga. Usłyszał od nich, że owszem przychodzili, żenili się i chrzcili dzieci, a z Boga ich nie naśmiewali się. „To dlaczego wy niszczyacie ich figurkę?” – zapytał i kazał wszystkim przyjść wieczorem na spotkanie. Na zebraniu obecny był mój brat Stanisław. Ów sędzia na wstępie wyjaśnił, że Konstytucja ZSRR jednakowo traktuje wszystkie narodowości oraz ich wyznania religijne. Potem rzekł: „Oto taka młoda Polka powiedziała, że jest jej przykro. Co by było, gdyby to powiedział stary Polak?” I tak dzięki ludzkiej postawie sędziego figura ocalała i stoi tam po dzień dzisiejszy. Słyszałem od miejscowych Ukraińców, że po wojnie byli tacy, którzy ponownie chcieli dokonać zamachu na nią, ale zaniemogli. Potem zamknięto im cerkiew i owa figura stała się jedynym publicznym świętym miejscem, gdzie można było pomodlić się i poprosić Boga o pomoc w różnych nieszczęściach. A nieszczęść nie brakowało.

Wróćmy jednak do czasów wojny i do „pierwszych Sowietów”. Budowa obiektów wojskowych była na pierwszym miejscu. Drugim ważnym celem, jaki sobie postawili bolszewicy, była kolektywizacja. Środkiem do niej był system podatkowy, zwłaszcza niekończące się domiary podatkowe, odpowiednia progresja podatkowa itp. Już po kilku miesiącach władzy radzieckiej w Radowiczach powstał kolchoz. Mój ojciec, nie chcąc zapisać się do kolchozu, zrzekł się na jego rzecz większości swej ziemi pozostawiając sobie tylko 5 hektarów. W ten sposób z kulaka stał się chłopem małorolnym, co dawało możliwość przetrwania przez jakiś czas. Na naszym polu oddanym do kolchozu Ukraińcy posadzili ziemniaki.

Kiedy w 1941 roku wybuchła wojna i przyszedli Niemcy, kolchoz rozpadł się i ojciec miał prawo wszystkie ziemniaki zebrać sam, nie dzieląc się z byłym kolchozem, który innej działki z ziemniakami nie posiadał. Tak jednak nie zrobił. Wydzielił sobie tylko część, a pozostałe pozwolił kolchoźnikom wykopać. Być może był to jeden z czynników, który zadecydował o tym, że oszczędzono naszą rodzinę i nie wymordowano w pierwszej kolejności, uważając za ludzi bezpiecznych.

Z odejściem Sowietów wiąże się dla naszej rodziny bardzo niebezpieczne wydarzenie, które o włos nie skończyło się tragicznie. Otóż w chwili wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej sąsiadka Ukrainka oskarżyła nas w NKWD, że przechowujemy niemieckiego szpiega. Okazją do tego był fakt, że kilka dni wcześniej wstąpił do nas daleki krewny, który wracał z robót w Dolsku i był ubrany w płaszcz żołnierski WP. Wiedząc o tym, że gdy pojawi się w domu to otrzyma ponowny nakaz pracy, szedł powoli, wstępując po drodze do znajomych i krewnych. Wyszedł z założenia, że lepiej podróżować niż pracować. Jego obecność u nas stała się podstawą do wniesienia skargi. Wojna wybuchła 22 czerwca 1941 roku w niedzielę, a już w poniedziałek mieliśmy „gości”. Wpadła grupa żołnierzy NKWD. Wypędzili nas z domu i postawili przed płotem z zamiarem rozstrzelania. Pamiętam, jak w odległości około 5 metrów ustawiony był karabin maszynowy, przy którym leżał żołnierz, czekający na rozkaz swego dowódcy. Ten jednak okazał się człowiekiem i odpowiadał mu ciągle: „postoj, postoj...”, a sam zdecydował przeprowadzić „dopros”. W tym celu wzięto mojego starszego brata Mieczysława, wyciągnięto go za stodołę i okropnie zbito, że aż cały był siny. Kiedy nic z niego nie wydusili, pozostawili nas całych przy życiu i odjechali. Z całej rodziny ocalałby wówczas jedynie najstarszy brat Stanisław, który w niedzielę był w kościele w Zasmykach i zanocewał u rodziny w Janówce. Do domu wrócił w poniedziałek po południu, po odjeździe Sowietów. Gdyby o tym fakcie ojciec doniósł potem Niemcom, los owej Ukrainki byłby zapewne tragiczny. Lecz on – zgodnie z zasadą chrześcijańską – nie zrobił tego.

I tak oto na ziemię wołyńską przyszedł drugi okupant. W pierwszej kolejności Niemcy rozprawiali się z komunistami. Przypominam sobie, że aresztowali około 18 komunistów i rozstrzelali w lesie radowickim. Pozostali okazali się obywatelami lojalnymi wobec hitlerowców i chętnie im służyli, zaciągając się masowo do żandarmerii. Niemcy jak wiadomo likwidowali ludność żydowską. W tej zbrodni żandarmeria złożona z Ukraińców chętnie ich wyręczała. Młodzież polska do współpracy z Niemcami nie angażowała się, ograniczając się do nielicznych przypadków pracy w charakterze sekretarki, tłumaczki. W tym czasie część naszej młodzieży w Radowiczach należała do AK. Pierwszym organizatorem i dowódcą miejscowej placówki był Eugeniusz Leśniewski, który przed wojną był żołnierzem zawodowym i posiadał stopień podoficerski lub chorążego. On to skupił wokół siebie grupę wiernych i oddanych młodych Polaków. Wiadomo mi jest, że przez pewien krótki czas była u niego drukarnia przerzucona tu z Rożyna. Następnie od Leśniewskich przerzucono ją do Osiecznika. W Osieczniku znajdowała się na przemian: u M. Wielgata, u Teofila Nadratowskiego i u Hipolita Leszczyńskiego, który ją obsługiwał. Podziemna prasa była kolportowana dla członków AK z zachowaniem ścisłej tajemnicy. Została ona później nieco rozluźniona w obliczu zbliżającego się niebezpieczeństwa ze strony nacjonalistów ukraińskich.

Dwaj moi starsi bracia – Stanisław i Mieczysław – zaopatrzyli się w broń. Za posiadanie broni za Niemców groziła kara śmierci. Rozstrzeliwano z reguły całe rodziny. Mieszkając we wsi zdominowanej przez Ukraińców należało zachować szczególną czujność. Byliśmy obserwowani. Zdarzały się czasem niespodziewane wizyty Ukraińców, z którymi nie było wcześniej żadnych kontaktów. Jednym z nich był Kostek Terypora, który ośmielił się bez pytania obejść wszystkie nasze pokoje, stawiając przy tym głupie pytania. Wiosną 1943 roku ktoś strzelił od strony sąsiada Onisieja do mojej siostry Ireny. Kula świsnęła jej koło głowy. Świadczy to o tym, że byliśmy obserwowani. Mimo to moi bracia zdołali zachować konspirację. W zdobyciu broni – 10 karabinów – pomogła rówieśniczka Stanisława – Maria Molenda, zwana u nas w domu po prostu Molendzianką. Przed wojną była u nas służącą. W czasie wojny z różnych względów służby u nas nie było. Wyręczano się dorosłymi dziećmi. Za Niemców brat Stanisław pojechał do Marii Molendy, żeby jej zorać kawałek pola i zasiać zboże. W czasie obiadowego obrobowania koni natknął się na ciężki snopek zboża. Okazało się, że w środku był karabin. W rozmowie z Marią dowiedział się o miejscu, gdzie jest więcej karabinów. Zebrał więc je wszystkie razem – 10 sztuk i przywiózł do domu. Następnie ukrył je, zakopując w ziemi, daleko od budynków. Niektóre były zarzewia, więc należało je oczyścić i zakonserwować. Wszystkie te czynności robili tylko dwaj bracia – Stach i Mietek. Pozostała rodzina nic o tym nie wiedziała. Dopiero wiosną 1943 roku, kiedy zamordowano trzech Leśniewskich (ojca i dwóch synów), w tym dotychczasowego dowódcę placówki AK Eugeniusza Leśniewskiego, tajemnica posiadania broni została rozluźniona i powiadomiono o niej stryja Zygmunta, który jako starszy kawaler mieszkał z naszą rodziną.

Spodziewano się, że podobny mord może i u nas nastąpić. I na pewno wielu Polaków by zginęło, gdyby nie przytomność bohaterskiego dowódcy Gienka Leśniewskiego, który w ostatniej chwili zdołał ukryć dokumenty konspiracyjne w wiadrze i przysypać je obierkami. Gazetki natomiast ukrył w popielniku. Kiedy banda wkroczyła do mieszkania, przeszukała pomieszczenia i dwukrotnie dokonała rewizji osobistej, niczego nie znajdując. Gienek posiadał jednak ukryty w trzewiku pistolet – „szóstkę”. Dzień wcześniej zamienił się na pistolety z moim bratem Stanisławem, oddając mu swoją „dziewiątkę”. Tę szóstkę zdobył brat od sąsiada Chwedora, biednego Ukraińca, który na wiosnę nie miał czym pola obsiać, więc zgodził się sprzedać broń za zboże. I z tym pistoletem bohaterski Gienek wraz z bratem Antkiem zdołał zabić trzech bandytów i dwóch ranić. Inna wersja mówi, że zabił 5 upowców. Tragedia rozegrała się na polu pod lasem. Zabierając z domu Leśniewskich bandyci udawali Niemców i mówili, że wiozą ich do Kowla. Kiedy jednak przed lasem, gdzie drogi rozchodziły się, bandyci skierowali się na drogę wiodącą do lasu, Gienek rozpoczął akcję. W walce zginęli wszyscy trzej Leśniewscy, ale nikogo nie wydali i zdołali zadać cios wrogowi. Zginęli nagle i posiadanych tajemnic nikomu nie przekazali. A przecież też mieli ukrytą broń. Opowiadał mi brat Mietek, że siostra Gienka Antonina wraz z kilkoma partyzantami polskimi bezskutecznie poszukiwała tej broni. Wiem natomiast od swojego rówieśnika, sąsiada-Ukraińca Bogdana Jewgienia (niedawno zmarł), że po wojnie Ukraińcy znaleźli na polu Leśniewskich broń. Był tam między innymi karabin maszynowy.

Po mordzie na Leśniewskich w naszym domu wzrosła czujność. Broń wykopano i przeniesiono do domu, gdzie stryj Zygmunt urządził specjalną skrytkę do jej przechowywania. Chodziło o to, by w razie potrzeby szybko z niej skorzystać. Każdej nocy bracia Mietek i Stach trzymali wartę na zewnątrz domu, oczywiście z bronią. W ciągu maja i czerwca widać było łuny pożarów na wschodzie. Pytani o to Ukraińcy dawali lakoniczną odpowiedź: „Nimci seło podpałyły”. Nikt z Polaków nie zdawał sobie sprawy ze zbliżającego się niebezpieczeństwa i jego rozmiarów. Wiem, że brat Stanisław zamierzał pójść do partyzantki w Dominopolu. Rodzice martwili się co powiedzieć sąsiadom Ukraińcom o przyczynie jego zniknięcia. Tymczasem fala mordów zaczęła się przybliżać coraz bardziej na zachód. Napływały niepokojące wieści o pojedynczych mordach, jak np. zabójstwie Leona Sakowicza w Swiniarzynie, który wraz ze swoim bratem Stanisławem Sakowiczem skupował zboże po wsiach. W Swiniarzynie wstąpili

do pewnego Ukraińca, u którego przebywali bandyci. Oni to właśnie ich aresztowali, zabrali im wóz i konie. Następnie kazali iść obok wozu, który kierował się w stronę lasu. W pewnym momencie młodszy, Stach, krzyknął do swego brata: „Leon, uciekaj!” i sam skoczył w bok do lasu. Strzelano do niego, ale żadna kula go nie dosięgła. Natomiast Leon otrzymał serię na miejscu i padł martwy.

Tego rodzaju wypadki zdarzały się coraz częściej. Nie było już wątpliwości, kto to robi. Przecież w marcu 1943 roku wszyscy Ukraińcy będący na służbie u Niemców uciekli do lasu, by budować „Samostijnu Ukrainu.”

Nastał wreszcie dzień 11 lipca 1943 roku, kiedy w kościele w Kisielinie oddalonym od Radowicz o około 25 kilometrów dokonano zbiorowego mordu na ludności polskiej. Już następnego dnia przybył do nas pan Ożarowski i powiadomił o tym wydarzeniu. Brat Stanisław natychmiast udał się do wsi, by spotkać się z kolegami z konspiracji i nowym dowódcą Nadratowskim, który po śmierci Leśniewskich zamieszkał u nich. Był on rodzonym bratem Leśniewskiej – matki. Na tymże spotkaniu zapadła decyzja o ucieczce następnego dnia, tj. 13 lipca, do Zasmyk z bronią i rodzinami. Po powrocie brata ze spotkania rozpoczęto przygotowania do ucieczki. Robiono to jednak dyskretnie, by sąsiedzi niczego nie zauważyli.

Dnia 13 lipca opuściliśmy swój dom zostawiając większość dobytku, tj. świnie, bydło, drób, meble itp. Na dwie furmanki załadowaliśmy żywność i odzież. Zbiórka miała nastąpić o godzinie 13.30 na skrzyżowaniu dróg koło lityńskiego lasu. Nasze wozy przybyły pierwsze. Czekaliśmy na pozostałe, ale nie nadjeżdżały. Pojawiły się dopiero około godziny 15.00. Było nas razem około 8 rodzin. Po krótkiej wymianie zdań mężczyźni podbiegli do swoich wozów, skąd wyciągnęli karabiny i założyli na głowy szare furazerki z przypiętymi orzelkami. Widok był imponujący, bo oto po kilku latach niewoli ukazali się nam polscy żołnierze z bronią w rękę. A oto ich nazwiska: Jan Sobczyk, Henryk Sobczyk, Tadeusz Golik, Mieczysław Łodej, Mieczysław Bednarek, Rakowscy – Wacław, Stanisław, Mieczysław, Zygmunt, Antoni oraz Henryk Nadratowski. Chcę tu przy okazji podkreślić, że wszystka broń pochodziła z „arsenału” brata Stanisława. Dla tego zbrojnego oddziału konspiracja zakończyła się w zasadzie tu pod lityńskim lasem. Teraz wozy ruszyły w kierunku Zasmyk, a nasze zbrojne ramię ubezpieczało nas z przodu i z tyłu. Przejeżdżając przez Piórkowicze wywołaliśmy u Ukraińców zdziwienie i przerażenie. Trzeba było groźbą karabinów zapędzić ludzi do domów torując sobie drogę do Zasmyk.

Za Piórkowiczami nasze dwa wozy skrzyły na Janówkę, gdzie mieliśmy rodzinę, a pozostałe wraz ze zbrojnym oddziałem udały się do Zasmyk, by tam wywołać zaniepokojenie u ludności polskiej, która obawiała się Niemców. Fakt pojawienia się pierwszego zbrojnego oddziału wywołał przede wszystkim u Ukraińców potężne wrażenie. Zaczęto ten fakt przekazywać sobie z ust do ust, a każdy starał się coś do tego dodać. W końcu wójt ukraiński w Turzysku, Tomczuk, ogłosił sołtysom na sesji, że do Zasmyk wywieziono dwa wozy broni ręcznej i maszynowej. Tego rodzaju plotka sprzyjała Polakom. Miała olbrzymie znaczenie propagandowe, budziła bowiem respekt Ukraińców wobec nas. W ten oto sposób już pierwszego dnia pobytu radowickiego oddziału w Zasmykach, miejscowość ta urosła w oczach upowców do potężnej twierdzy.

Tymczasem w Zasmykach po przyjeździe uciekinierów wynikły problemy z zakwaterowaniem i aprowizacją przybyszów. Zaszła pilna potrzeba zdobycia żywności dla oddziału. Wykorzystano wówczas propozycję brata Stanisława i dokonano zbrojnego wypadu do naszego rakowickiego gospodarstwa, gdzie zaopatrzone się w kilka sztuk bydła, drób itp.

Życie Polaków w Radowiczach po naszej ucieczce biegło przez kilka dni normalnie. Wielu ludzi wykazywało zdziwienie, a nawet uważało za głupotę pozostawienie wszystkiego dobytku. Ukraiński nauczyciel z Radowicz przysłał list do nas na Janówkę, nakłaniając do powrotu. Okazało się, że było to złudzenie. Oto dotarł do Zasmyk goniec, który powiadomił dowództwo samoobrony, że Ukraińcy spędzili i uwięzili w szkole pewną liczbę ludności polskiej z Radowicz z zamiarem wymordowania jej. Decyzję o przyjeździe uwięzionym z pomocą podjęto natychmiast. Cały oddział wsiadł na dwie furmanki i kilka rowerów i ruszono pędem do Radowicz. Nie wiedząc jednak jakimi siłami dysponuje przeciwnik, zastosowano szantaż. Udano się do sołtysa Ukraińca, którego mój brat Stanisław sterroryzował, przystawiając mu pistolet do głowy. Zażądał wypuszczenia uwięzionych w ciągu 2 godzin, bo w przeciwnym razie wieś zostanie wybita i spalona. Szantaż powiódł się. Po dwóch godzinach uwięzieni w szkole Polacy zostali zwolnieni i odwiezieni do Zasmyk.

Wkrótce po tym wydarzeniu wywiad polski ustalił, że Ukraińcy gromadzą swoje siły z zamiarem uderzenia na Zasmyki i okolice. Część ludności polskiej w Zasmykach i Janówce zaczęła uciekać w kierunku Kowla. Nasza rodzina zatrzymała się wówczas w Zielonej pod Kowlem. W tym czasie, tj. 24 lipca Niemcy w sile jednego oddziału wyprawili się w rejon Radowicz i Lityna, gdzie napotkali na zgrupowanie band ukraińskich i musieli się wycofać. Następnego dnia rzucili w ten rejon znacznie mocniejsze siły ściągnięte z Łucka. Moja ciotka i stryjenka z Zielonej naliczyły 90 samochodów załadowanych wojskiem niemieckim, jadących w kierunku Radowicz i Lityna. Niemcy rozbili wówczas siły ukraińskie i opanowali cały rejon. Polacy mogli teraz wrócić do swych gospodarstw i zebrać żniwa.

Niemcy dopilnowali, by oddać im należny kontyngent. Mój ojciec np. musiał oddać im 50 kwintali zboża.

W czasie pobytu Niemców w Radowiczach Ukraińcy zamordowali Kuźmińską i trzy córki Żołnika oraz jego syna. Córka Zofia zdołała uciec.

Wczesną jesienią, po boju pod Gruszkówką, doszło do drugiego dużego starcia hitlerowców z bandami UPA. Powodem tego było zamordowanie około 9 Niemców w rejonie Tuliczowa i Swinarzyna. Następnie oddziały niemieckie zostały zastąpione litewskimi. Litwini wyraźnie sympatyzowali z Ukraińcami. Był taki przypadek, kiedy kwaterujący u sąsiada-Ukraińca żołnierz litewski przyszedł zastrzelić mojego ojca, który w tym czasie przebywał akurat w stodole w towarzystwie dwóch mężczyzn. Mieli w rękach widły, więc Litwin nie wszedł do środka, tylko kazał ojcu samemu wyjść na zewnątrz. Na to ojciec wyjął pistolet, z którym się nigdy nie rozstawał i kazał mu opuścić ten teren jeśli mu życie miłe. Litwin odszedł. Tego dnia wieczorem na furmance cała moja rodzina opuściła gospodarstwo.

Do 10 listopada załoga niemiecko – litewska wycofała się z Kupiczowa, Tuliczowa, Radowicz i Lityna. Nieco wcześniej Czesi przysłali swą delegację do mojego ojca, by spowodował zajęcie Kupiczowa przez polską partyzantkę. Ojciec udał się z nimi osobiście do sztabu w Zasmykach, gdzie przedłożyli swoją prośbę i otrzymali obietnicę jej spełnienia. Jednak Kupiczów po odejściu Niemców zajęli Ukraińcy. Przybyły tu oddział „Jastrzębia” musiał w walce z nimi zdobywać tę osadę. Czesi byli bardzo wdzięczni Polakom za wyzwolenie ich od upowców. Wcześniej Czesi z Radowicz uprzedzili mojego tatę o planowanym napadzie na Zasmyki 31 sierpnia. Tata poinformował o tym nasze dowództwo w Zasmykach.

W bitwie pod Gruszkówką zginął mój brat Stanisław. W naszej pamięci pozostał on jako człowiek niezwykle odważny i waleczny. Był całkowicie oddany organizacji AK i oddziałowi, do którego należał. Po 13-tym lipca ani razu nie przybył na przepustkę, by odwiedzić rodzinę. Ważniejsze sprawy kazały mu trwać na posterunku. Nie bał się śmierci. Często powtarzał: „Jak zginąć, to śmiercią bohatera”. Na jego pogrzeb przyszyły setki ludzi, a opuszczoną do mogiły trumnę z jego ciałem pokrył, zamiast ziemi, stos kwiatów. Ksiądz M. Żukowski wezwał wszystkich obecnych do złożenia przysięgi, że będą tak bohatersko walczyć jak on, w obronie narodu polskiego i tej ziemi. Dnia 5-go września, w niedzielę, odprowadzona była w kościele w Zasmykach msza św., na której ks. Żukowski o poległym bracie Stanisławie powiedział, że zginął nie zwykły człowiek, lecz kapłan, gdyż oddał życie swoje za innych ludzi. Dowództwo wojskowe odznaczyło go pośmiertnie Krzyżem Walecznych. Zgromadzona przez niego broń stała się podstawą do powstania i szybkiego rozwoju pierwszego oddziału partyzanckiego w pow. kowelskim, który niósł wolność i ocalenie ludności polskiej na ziemiach tzw. Rzeczypospolitej Zasmyckiej na Wołyniu.

Jedną z miejscowości, które wyzwolił oddział „Jastrzębia” była czeski Kupiczów. Jak już wcześniej nadmieniałem, 10 listopada 1943 roku ostatni oddział niemiecki opuścił osadę. Oznaczało to, że cały ten teren, kontrolowany dotychczas przez Niemców, a więc Radowicze, Lityn, Tuliczów i Kupiczów, przeszedł pod kontrolę band UPA. Miejscowi Czesi dotkliwie odczuwali okupację ukraińską, dlatego też zdecydowali się wysłać delegację do Polaków z prośbą o przepędzenie bandy z Kupiczowa. Prośba ich została spełniona. Dokonała tego kompania „Jastrzębia”, w której służył mój brat Mieczysław ps. „Sarna”. Za wyzwolenie Czesi byli bardzo wdzięczni i okazali polskim partyzantom gościnność.

W niedługim jednak czasie, a dokładnie w grudniu, Ukraińcy zgromadzili znaczne siły. Przygotowali między innymi opancerzony traktor gąsienicowy, w którym umieścili działko. Był to ich czołg. Pewnego grudniowego dnia zaatakowali Kupiczów od strony Swinarzyna, a następnie okrążyli go. Załoga „Jastrzębia” dzielnie odpierała ich ataki. Czesi też wspomagali ich jak mogli. Jak opowiadał mi brat – „Sarna”, on jako erkaemista przerzucał swój karabin maszynowy na coraz to nowe stanowiska, żeby stworzyć wrażenie, że Polacy dysponują kilkoma karabinami. Niestety, pod wieczór sytuacja stawała się dramatyczna. Zaczęło brakować amunicji. Strzelano tylko do konkretnych celów. Na szczęście gdzieś w terenie działał drugi oddział polski – „Sokoła”, do którego dobiegł odgłos walki, strzałów z działka, wybuchów granatów. Natychmiast przybył na odsiecz okrążonemu „Jastrzębiowi”. Ukraińców przepędzono, a Kupiczów ocalał.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Oba polskie oddziały przebywały w Kupiczowie, kontrolując również jego najbliższe okolice. Ten fakt postanowiły wykorzystać bandy ukraińskie i przygotowały wielkie uderzenie na polskie wsie: Zielona, Radomle, Janówka i Zasmyki. Marzyło im się ostateczne wymordowanie Polaków w tych wsiach, do których schroniła się również ludność polska z innych wsi. Nie było domu, w którym nie przebywałoby po kilka rodzin. Zagęszczenie było bardzo duże.

Polacy, to znaczy skromne oddziały samoobrony, które pozostały na tym terenie (bo przecież główne nasze siły były w rejonie Kupiczowa), spodziewali się ataku ze strony Ukraińców. Całą noc czuwały posterunki. Kiedy nastał ranek pierwszego dnia świąt, partyzanci nasi z placówek samoobrony rozeszli się do swoich domów, by odpocząć po bezsennej nocy. Rano, około godziny ósmej, rozległy się strzały. Wybiegliśmy z domu na dwór i ujrzelśmy uciekających ludzi z Batynia na Janówce (nasza rodzina przebywała u mojego stryja na Janówce). Ojciec kazał mi pobiec na placówkę samoobrony,

która mieściła się ok. 500 m za wsią Janówka i powiadomić o napadzie. Biegłem wzdłuż linii natarcia ukraińskiego, nie zdając sobie z tego sprawy. Liczyłem sobie przecież wtedy zaledwie 10 lat. Miałem jednak szczęście, że moja ciocia i wujek, w których domu mieściła się placówka samoobrony, zauważyli mnie i zaczęli aż dobiegnę, by wspólnie uciekać w innym kierunku. Gdyby wtedy nie zaczęli na mnie, wracałbym z powrotem tą samą trasą do domu i niechybnie Ukraińcy by mnie zabili. Teraz jednak we czworo pobiegliśmy do Janówki poza lasiem. Wujek mój, dysponując karabinem dołączył do swoich kolegów z samoobrony, a ja dostrzegłem wśród uciekających naszą furmankę i część swojej rodziny. Zziębnięci, ledwie zdołałem wsiąść na wóz.

Cała ludność Janówki i jej nowi przybysze – wcześniejsi uciekinierzy, uciekali do Zasmyk. Widziałem wśród nich rannych i niezupełnie jeszcze ubranych ludzi. W Zasmykach zatrzymaliśmy się wszyscy na jakimś polu. Dobiegały tu zaledwie odgłosy strzałów. To na Janówce z nacierającymi Ukraińcami walczyła samoobrona, próbując powstrzymać ich uderzenie. Zasmycka samoobrona również pośpieszyła do walki. Wcześniej wysłano konnego gońca do Kupiczowa, by powiadomić o napadzie. Ukraińcy, jak się potem okazało, celowo przepuścili posłańca. Zamierzali bowiem w lesie lityńskim urządzić zasadzkę na polski oddział idący z odsieczą. Istotnie, goniec szczęśliwie dojechał do Kupiczowa, choć na miejscu koń, na którym jechał padł ze zmęczenia. Powiadomiony przez niego „Jastrząb” natychmiast wyruszył ze swym oddziałem, tj. kilkunastoma furmankami. W lityńskim lesie natknął się na ukraińską zasadzkę i musiał walczyć dwóch godzin, a rozbiwszy ich dotarł na linię frontu, ciągnącego się od wsi Zielonej przez Radomle, Janówkę i Zasmyki, łącznie kilka kilometrów.

Sytuacja na linii walki była taka, że partyzanci polscy z samoobrony zaczęli wypierać napastników. Przybyli „Jastrzębiacy”, a było to już po południu, ze śpiewem „nie rzucim ziemi skąd nasz ród” ruszyli do ataku. Banderowcy w popłochu zaczęli uciekać, padali zabici. Opowiadano, że część z nich uciekała do Turzyska, gdzie stacjonowali Niemcy. Niemcy, widząc pędzących ludzi z bronią, otworzyli do nich ogień, gdyż sądzili, że to jest napad na Turzysk. Straty po stronie ukraińskiej w tym napadzie dokładnie nie są znane. Mówiono, że zginęło ich powyżej stu. Nasze straty w ludziach wyniosły w przybliżeniu 50 osób, głównie ludności cywilnej. W tej liczbie był też mój ojciec, walczący w szeregach samoobrony, którego dosięgła kula w lasku między Janówką a Zasmykami.

Wiadomo, że wśród Ukraińców było dwóch popów, którzy po wymordowaniu wszystkich Polaków mieli w zasmyckim kościele odprawić dziękiżne nabożeństwo. Wieźli ze sobą zrabowane z polskich kościołów sztandary i inne sprzęty. Jeden z tych popów zginął w Zadybach. Jak liczne były siły ukraińskie dokładnie nie wiadomo. Mówiono, że łącznie idącymi w drugiej linii chłopami uzbrojonymi w noże, widły i siekiery, nastawionymi oprócz mordu na rabunek, mogło być ok. trzech tysięcy. Długość linii natarcia zdaje się potwierdzać to przypuszczenie. Po tym napadzie i boju więcej zakusów na „Rzeczpospolitą Zasmycką” ze strony Ukraińców nie było, a nasze oddziały przejmowały pod swą kontrolę coraz to nowe wsie i tereny.

Tak minęła zima roku 1943/44. Wiosną wszystkie nasze oddziały partyzanckie w ramach akcji „Burza” wymaszerowały z tych terenów, a na ich miejsce pojawiły się oddziały partyzantki i wojska radzieckiego. Linia frontu przybliżyła się. Rozgorzał wielki bój o Kowel, trwający trzy miesiące. W tym czasie ludność cywilną (polską i ukraińską) ewakuowano na wschód w kierunku Łucka i Rożyszcza, nad Stochód i Styr. I znów trzeba było zabrać ze sobą tylko niezbędne rzeczy i żywność. W dodatku nie bardzo było czym jechać, bo wszystkie nasze konie Sowietami przemocą zabrali, zostawiając w zamian swoje wyeksploatowane konie, często chore, tzw. „mongołki”. Postoje robili Polacy zawsze w pobliżu jakiegoś oddziału wojska sowieckiego z obawy przed Ukraińcami, którzy tak samo jak my musieli uciekać od linii frontu na rzece Turii. Na całej trasie naszej ucieczki zamieszkiwaliśmy w szałasach z gałęzi, gdyż wsie przeważnie były popalone, a ludność polska wymordowana. Spotykaliśmy niekiedy zbiorowe mogiły, jak np. na Rakowej Górze, gdzie dłuższy czas stacjonowaliśmy.

W lipcu 1944 roku pozwolono nam wracać do swoich wsi. Wróciliśmy do stryjów na Janówce, gdyż nasze zabudowania w Radowiczach zostały spalone jeszcze przed ewakuacją. Ocalał tylko dom, ale nie było w nim ani drzwi, ani okien, gdyż to wszystko wojsko radzieckie wykorzystało do robienia schronów. A w dodatku to otoczenie ukraińskie w Radowiczach było straszne. Mieszkaliśmy na Janówce po kilka rodzin w jednym domu, jak przed ewakuacją. Zbieraliśmy skąpe żniwa, ponieważ większość zasiewów była stratowana przez czołgi. Było sporo stosów różnych pocisków, bomb, min i amunicji wszelkiego rodzaju. Jako dzieci bawiliśmy się tym wszystkim, choć starsi ostrzegali. Było dużo przypadków kalectwa i śmierci.

Wojsko radzieckie poszło za frontem i rzadko można było ich tu spotkać. Tylko jeden „żołnierz” wciąż kręcił się po tym terenie na koniu z bronią i szabłą. Mówił, że nazywa się Kolka i kazał dawać sobie wódkę i jedzenie. Początkowo wszyscy sądzili, że wojsko sowieckie oddelegowało go do patrolowania okolicy. Potem przekonaliśmy się, że był to ukraiński bandyta.

Jesienią 1944 roku coraz częściej dochodziły pogłoski o napadach na polskie rodziny. Wkrótce przekonaliśmy się o tym sami. Mieszkaliśmy, to znaczy moja rodzina, częściowo u stryjów, a częściowo u ciotki Szarwiłowej, tam gdzie była placówka samoobrony. Pewnej nocy, gdzieś w drugiej połowie

października, ktoś zaczął stukać do okna, pod którym spaliśmy na podłodze. Wszyscy obudziliśmy się i szybko ubraliśmy. Stukanie było coraz bardziej energiczne. Wreszcie wybito szybę w oknie. Ciotka z siedmioletnim synkiem Waldusiem przez kryjówkę dostała się na strych domu. A my, tzn. ja, brat, siostra i dwoje rodzeństwa sierot, którzy u nas znaleźli przytułek, podeszliśmy cichutko pod drzwi wyjściowe w ganku i raptownie otwierając je, rzuciliśmy się do ucieczki. Przed drzwiami stał z pepeszą bandyta. Dwóch innych stało przy oknie, a czwarty przy wozie, którym przyjechali. Raptowne nasze wypadnięcie i krzyk, jaki podnieśliśmy, jak gdyby przeraziły stojącego z pepeszą przy drzwiach bandytę. Nim się ocknął i zaczął do nas strzelać, byliśmy już w krzakach i żadna z kul w nas nie trafiła. Ciotka na strychu też podniosła krzyk. W tej sytuacji napastnicy wsiedli na wóz i odjechali. Jak się potem okazało chcieli oni najpierw dostać się do obory, ale drzwi od środka były dobrze zaryglowane przez pana Treflera, który zawsze wewnątrz ryglował drzwi, następnie po drabinie wchodził na strych obory, wciągał za sobą drabinę i tam spał na sianie.

Po tej napaści wyprowadziliśmy się wraz z ciotką z jej domu do ciotki Kurzydłowskiej, zamieszkałej w środku wsi, w domu dobrze nadającym się do obrony. Zresztą wujek Kurzydłowski miał niezły arsenał broni. W domu ciotki Szarwiłowej, gdzie był ów napad, pozostał tylko Trefler. Nakłaniany, by też przeniósł się do wsi mówił: „A co mi kto zabierze? Chyba duszę, bo nic więcej nie mam”. Każdego dnia ktoś z naszej rodziny udawał się do tego domu po paszę dla zwierząt i przy okazji zawoził jakąś żywność.

Pewnego dnia, w drugiej połowie listopada lub w grudniu 1944 roku mój brat Witek i siostra Irena udali się po paszę i do Treflera z żywnością. Drzwi domu były otwarte, a on martwy siedział na krześle ze śladami postrzałowymi głowy, która zwisała do tyłu. Z nóg ściągnięto mu i zabrano buty. Jak się potem okazało, tej samej nocy wspomniany już Kolka zawiózł te buty do Zasmuk do szewca Żołnika i kazał przerobić i dopasować do jego nóg. Ciało Treflera zostało pochowane na cmentarzu w Zasmukach przez moją rodzinę i podobnych jemu tułaczy. Ten i inne podobne fakty przyspieszyły podjęcie decyzji o naszym wyjeździe do Polski w 1945 roku.

Po wojnie odnalazł nas syn Treflera, Bolesław, zamieszkały we Wrocławiu, który w czasie wojny był w Wojsku Polskim i walczył na froncie. Dowiedział się od nas o tragicznym losie swojego ojca i zabrał jego skromne rzeczy, które przywieźliśmy z Bugu. Jego matka i siostra zostały wcześniej zamordowane przez Ukraińców.